



Kryminał z myszką

62

#OROSKOP

M a r i a n

B u t r y m

Marian Butrym

HOROSKOP

Kryminał z myszką – Tom 62

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-53-9

Copyright © Spadkobiercy Mariana Butryma

Tekst: Iskry, Warszawa 1974 (Ewa wzywa 07, nr 63)

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

Lektura tej kartki maszynopisu była równie pasjonująca, jak rozsupływanie sznurowadła w bucie znalezionym na śmietniku. Byłem jednak na tyle przytomny, aby nie wyjawiać głośno moich obiekcji, zwłaszcza że szef siedział metr ode mnie. Podczas siedmiu lat pracy w milicji przyzwyczałem się, że sprawy prowadzone przez nasz resort miewają dużo bardziej błahę początki. Milicyjny staż nauczył mnie również zasady, że w naszym zawodzie błędy popełnione z gorliwości są niczym w porównaniu z błędami wynikłymi z lekceważenia.

W sumie jednak nawet powtarzanie tych oczywistych prawd ani na jotę nie poprawiło mi humoru. Sprawa zapowiadała się nieciekawie, w każdym razie tyle wynikało z maszynopisu, o którym już wspominałem. Żeby nie być gołosłownym przytoczę treść kartki *in extenso*.

PYTANIE: Czy podczas waszego pobytu w Wiedniu Rudolf Schaub kontaktował się jeszcze z kimś z Polski?

ODPOWIEDŹ: Nikogo nie widziałem, ale pamiętam, że kiedyś Schaub spóźnił się na spotkanie. Powiedział wtedy, że przyjechała ekipa polskich sportowców i musiał załatwić parę spraw.

PYTANIE: Czy mówił konkretnie, z kim się spotykał?

ODPOWIEDŹ: Nie, tego nie mówił. Rozmawiał przy mnie z kimś przez telefon i przynaglał go do pośpiechu. Pamiętam, że powiedział wtedy: „przyjechał student”.

PYTANIE: Chodziło o autentycznego studenta, czy też był to pseudonim?

ODPOWIEDŹ: Tego nie wiem.

PYTANIE: Proszę sprecyzować datę tej rozmowy.

ODPOWIEDŹ: To było około dwunastego czerwca.

Cytowany fragment protokołu przesłuchania był wzruszająco lapidarny. Dowiedziałem się, że w połowie czerwca jakiś wiedeński facet zawiadomił telefonicznie drugiego faceta, że przyjeżdża trzeci facet. Informacja jak informacja, tyle że nie wiadomo, co z nią robić. Z równą dozą zainteresowania przyjąłbym wiadomość, że do Wiednia wjechał Szymon Słupnik na czele pułku ciężkiej artylerii.

Ale swój komentarz zachowałem na lepsze czasy. Posiadam bowiem coś, co jedni nazywają instynktem samozachowawczym, a inni poczuciem obowiązku; ani jednego, ani drugiego posiadać nie warto – wie o tym każde dziecko i mogę za to zaręczyć słowem honoru.

Szef z pasją godną lepszej sprawy ubijał zawartość fajki. Nieraz miałem wrażenie, że bezlitośnie tłamszony tytoń straci wreszcie cierpliwość i wybuchnie podczas zapalania.

– No i co o tym powiesz, syneczku? – zapytał.

– Mętne zeznania, obywatelu pułkownika – odparłem ostrożnie. – Na dobrą sprawę żadna z informacji nie jest pewna.

– Stuprocentową pewność daje tylko polisa ubezpieczeniowa – westchnął pułkownik. – A czy prawdziwe są te zeznania, musimy właśnie sprawdzić.

Na końcu języka miałem uwagę, że forma „my” została użyta raczej z grzeczności. O ile znam życie, a znam je trochę, sprawdzeniem wiarygodności cytowanych w protokole informacji zajmie się nie kto inny, tylko piszący te słowa.

Pułkownik szybko dowiedział, jak prorocze były moje przypuszczenia. Powinienem zostać wróżką albo zagrać w toto-lotka.

– Zajmiesz się tym, syneczku. Fragment protokołu, który przeczytałeś, przekazała nam Służba Bezpieczeństwa. Trzy tygodnie temu aresztowali agenta obcego wywiadu, pracownika

handlu zagranicznego. Ma niewiele do stracenia i trudno przypuszczać, aby kłamał w tak drobnej sprawie. Zresztą inne jego zeznania potwierdziły się.

– W trosce o własną skórę ludzie bywają rozmowni – wtrąciłem uwagę typu ogólnofilozoficznego, aby zademonstrować szefowi zalety własnej wyobraźni.

– Musimy znaleźć tego studenta...

– Jeżeli istnieje...

– Tak, syneczku – powiedział szef spokojnym głosem, ozdobionym chroniczną chrypką – ty jesteś stworzony do wielkich czynów. Siedzisz tutaj i w duchu klniesz, że szef wrabia cię w trzeciorzędą aferę przemytniczą. Bo i pewnie, masz już doświadczenie, sukcesy, pochwały... Ambicja zawodowa daje znać o sobie. A tymczasem każą ci uganiać się za jakimś studentem, który podczas wycieczki do Wiednia kupił długopis z fotosami nagiej dziwki lub plastikowe gacie.

Jedną z niewątpliwych wad pułkownika Gonczara jest zwyczaj ironizowania głosem pozbawionym ironii. Ale ci, którzy znają szefa, a ja niewątpliwie mam zaszczyt zaliczać się do tego grona, wiedzą doskonale, że w pewnych sytuacjach lepiej mu nie przerywać.

To była właśnie taka sytuacja.

– Otóż wyobraź sobie, chłopcze, że to nie jest błaha sprawa. Pan Rudolf Schaub umarłby ze śmiechu dowiedziawszy się, że uważasz go za detalistę. On nie zajmuje się gówniarskimi interesami. Mamy jego kompletne *dossier* i nie jest to nudna lektura.

Pułkownik zerknął do notatek i przez chwilę panowała tzw. grobowa cisza.

Ja również milczałem, bo mówiąc szczerze, nie miałem za wiele do powiedzenia. Mógłbym, co najwyżej, rzucić uwagę, że tacy faceci jak Rudolf Schaub rzadko umierają ze śmiechu. A jeszcze rzadziej w łóżku. Słyszałem o różnych wypadkach.

– Od kilku miesięcy – ciągnął nieubłaganie pułkownik – otrzymuję raporty służby „X” penetrującej środowisko waluciarzy. Wszystkie są tak zgodne, że aż nudne. Na trasie Warszawa-Wiedeń istnieje świetnie zakonspirowany kanał przerzutowy. Do Austrii wędrują waluty, a z powrotem złoto. I w tym miejscu nasza wiedza na ten temat się kończy. Próbowaliśmy już różnych metod. Wzmoczone kontrole graniczne w okrasach gwałtownego popytu na dolary, obserwacja tras wyjazdowych, analiza częstotliwości wyjazdów poszczególnych osób... i nic.

– I zeznanie agenta... – włączyłem się w monolog szefa, uznając dalsze milczenie za nietakt.

Ale nie dał sobie przerwać.

– I zeznanie agenta jest pierwszym bardziej konkretnym śladem. To niewiele, kapitanie, ale zawsze więcej niż nic.

Odkrywczość tej uwagi znokautowała resztki mego humoru. Oczywiście myliłem się sądząc, że sprawa należy do błahych. Szef obarczał mnie sprawą, na której kilku moich kolegów połamało zęby i mnie prawdopodobnie czeka to samo. Iście danajski prezent, kapitanie Morski, można sobie pogratulować, nie ma co!

– Spróbuję, obywatelu pułkownika – powiedziałem z niezłe udawaną rzeźkością w głosie – ale nie wiem, czy dam radę...

Wobec przejawu tak oczywistego asekurantstwa nawet marsowe oblicze szefa rozjaśniło się jak choinka wigilijna.

– Tego nikt z góry nie wie, kapitanie... Nie mamy patentu na nieomyślność. Ale lepiej, żeby się udało. Sprawa jest przede wszystkim prestiżowa. Liczę na ciebie, syneczku, a ściślej mówiąc – na was, bo dostaniesz do pomocy porucznika Szemiota. Przystuduj te papiery i zobaczmy, co dalej.

– Rozkaz, obywatelu pułkownika – wykrztusiłem formułkę regulaminową, nie mając w pogotowiu odpowiedniej kwestii na zakończenie tej sceny.

Kiedy włączyłem wsteczny bieg i wychodziłem z gabinetu, pułkownik zaczął zapalać znękaną fajkę.

Wstrzymałem oddech.

Tym razem jednak nie wybuchła.

2

Przeczytałem jeszcze raz fragment cytowanego protokołu, stwierdzając z niejakim rozczarowaniem, że na kartce nic się nie zmieniło. Być może sprawiam zawód tym wśród czytelników, którzy sądzą, że z miejsca olśni mnie jakaś genialna myśl i z wyciem syren pojedą aresztować przestępcę.

Strasznie mi przykro. Jedynym usprawiedliwieniem może być fakt, że życie nie jest powieścią, a ponadto książka kryminalna zakończona na trzeciej stronie nie byłaby przesadnie interesująca.

Niestety, na razie dość odległą wydawała mi się chwila, w której przestępcy zgniją w więziennych lochach, a nawet ta, kiedy nękanie wyrzutami sumienia i wyrwijac sobie włosy z głów, staną przed karzącym obliczem sprawiedliwości, aby obnażyć swą nicość moralną i wysłuchać wyroku... no nie, unikajmy przesady, a w każdym razie tasiemcowych zdań.

Wracając do sprawy, to wspominałem już chyba, że nie miałem żadnego genialnego pomysłu, jak rozpocząć śledztwo. Przez głowę przelatywały mi wprawdzie tysiące koncepcji, ale może właśnie dlatego, że było ich tysiące, żadna nie wydała się rozsądna. Po dalszym kwadransie rozważań nabrałem niewytłumaczalnej ochoty, aby wrzucić akta do najbliższego kosza i pójść na lody. Cóż, Wiedniem interesowałem się chyba raz w życiu i to z okazji króla Sobieskiego, który wpadł na brzemienny w skutkach pomysł, aby ratować miasto przed Turkami. Gdyby ów dzielny wojownik, zamiast wojażować po kwiecie, zajmował się pilniej Marysienką, być może nie byłoby w ogóle pana Rudolfa Schauba i ciemnych spraw jego, ja miałbym kłopot z głowy, dziatwa jedną lekcję historii mniej, że nie wspomnę już o radości Turków.

Przed dalszym wymyślaniem podobnych bredni uratowało mnie wkroczenie do pokoju wysokiego blondyna w okularach, o ascetycznej urodzie rutynowanego misjonarza.

– Słyszałem, że mamy robótkę – powiedział.

– Owszem, mamy. Szef wrzepił nam sprawę, której nie sposób ugryźć – odparłem ponuro. – Chcesz znać szczegóły?

– Nie krępuj się i opowiadaj. Ponarzekać zawsze zdążymy.

Opowiedziałem. Nie będę ukrywać, że perspektywy rozwikłania afery widziałem raczej czarno.

Szemiot zagłębił się w lekturę maszynopisu.

Miałem już w tym roku dwie umorzone sprawy. Niby nic wielkiego, każdemu może się zdarzyć, ale bez względu na to, co mówił szef i jak mnie pocieszał prokurator, traktowałem ten fakt jako osobistą porażkę. Cóż, płacą nam za, wykrywanie przestępców. A nowa sprawa również nie zapowiadała się łatwo. Zresztą czy są u nas łatwe sprawy?

Wyglądało, że znowu rozłożę bezradnie ręce i będę miał wyrzuty sumienia, stojąc w kolejce po pensję. Co prawda, nie za wysoką.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI